Nr. 254.

Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 12. Września 1897.

Z Finlandyi na Ararat.

(Specyalne sprawozdanie dla *Gaz. Nar.*)

IX.

Moskwa we wrześniu 1897.

Nademną gorące słońce południa lejące całe morze światła i żaru, u stóp moich czarodziejskie zjawisko — tak niezwykłe i fantastyczne, że chyba młodociana wyobraźnia, rozpalona opowieściami piastunek o zamkach i miastach zaklętych, o skarbach Golkondy coś podobnego stworzyć zdoła!

Upojone oko przebiega jak we śnie szczegóły tego wspaniałego widziadła nie mogąc ani objąć, ani zrozumieć całości, zdaje się, że lada podmuch wiatru zmiecie to wszystko — i tajemnicze, rozkoszne fata morgana ustąpi miejsca szarym piaskom pustyni!..

Nie! to nie wytwór gorączkowej wyobraźni — to nie żadne mamidło przyrody, bo czujemy skwar słońca, zapierający nam oddech, czujemy przyspieszone uderzenia serca — zdajemy sobie sprawę z tego głuchego szumu zdradzającego, że u stóp naszych bije tętno życia milionów ludzi, to rzeczywistość!..

To jakaś nadziemska siła przeniosła nas w daleki wschód azyatycki, gdzie ma leżeć kolebka białej rasy — gdzie prastare dzieła ręki ludzkiej, prastare zwyczaje i prastara religia niedotknięte fałą postępu zachowały się jak żyjąca mumia, jak jurajskie torbacze na wyspach australskich — dając nam obraz, jak wyglądała cywilizacya przed wielu... wielu tysiącami [illegible]

[illegible]... jesteśmy gdzieś w okolicach [illegible]ongu na Syjamie — gdzieś w za[illegible]ym kąciku Indyi i Tybetanii, kę[illegible] niepostała jeszcze noga Europejczyka — i z podziwem oglądamy ten świat tak odmienny od naszego.

Dokoła u stóp naszych całe morze jasnozielonych dachów, z pod których świecą i żarzą się białe i czerwone mury — z pośród tego strzelają ku błękitowi niebios — jakby wyspy i rafy na morzu — pagody i minarety, wieże i kopuły lśniące w słońcu od złota, od żywych barw tęczy.

Cóż to za dziwny smak architektury drwiący sobie z przyrody! Wszystko bowiem, co przyroda mieściła w ziemi lub tuż nad ziemią, więc pękate harbuzy i cebule, łuskowe ananasy, spłaszczono kuliste pomidory, wrzecionowate buraki — przybrawszy olbrzymie rozmiary i pozłociwszy się złotem, lazurem, szmaragdem lub rubinem strzeliły wysoko w powietrze.

Jakiś prastary wojowniczy lud tu mieszka prowadzący jeszcze bój łukiem i strzałami, rzucający kamienne pociski z kuszy oblężniczej, bo tuż w naszym sąsiedztwie ciągnie się w trójkącie starodawny mur — opierający się jednym bokiem o rzekę — a poprzerywany pagodami o przewróconych palankinowych dachach. Strzeże on zapewne jakichś świętości, jakichś potwornych bożków, które królują w tych fantastycznych świątyniach podnoszących swe pękate, złocone łby aż do stóp naszych.

Lecz hola! przypatrzmy się lepiej, są tu i Europejczycy. Zapewne przemyślni synowie Albionu, lub chciwi zysku mynherzy pozakładali tu swoje agencye i faktorye, a może i niektóre mocarstwa mają tu swych ambasadorów, bo przecież tu i ówdzie przeziera biały barokowy pałacyk, a tuż za murem strzegącym świetności rozciąga się olbrzymi gmach w włoskim stylu z bogatą fasadą, cały śnieżno biały jak gdyby z najpiękniejszego marmuru.

A te gmachy — te pagody, kopuły i minarety ciągną się w nieskończoność, dopiero tam w oddali sinieje coś jakby bór — jakby oczerety — to zapewne dżungle azyatyckie, w których czyha niebezpieczny tygrys bengalski lub zdradliwy, żarłoczny gawial...

A przecież to nie azyatycki daleki wschód!... To ani Syjam, ani Indye i Tybetania — to Europa jeszcze — wprawdzie 1300 kilom. na wschód od Warszawy, ale zawsze jeszcze Europa. Ja stoję na wieży „kołokolni“ (dzwonicy) Iwana Wielkiego — u stóp mych leży sławny Kreml, a po za nim rozciąga się — to serce Rosyi — ten „Rzym tatarski“ — jak się dowcipnie pani Staël wyraziła — świataja Moskwa...

To nie świątynie pogańskie, lecz cerkwie chrześcijan, bo przecież na tych dziwnych złotych, miedziano czerwonych, szmaragdowo-zielonych i lazurowo-niebieskich kopułach błysz dowanych wschodniemi ozdobami widnieją obrazy świętych, to Uspańska, Archangielska, Błagowieszczeńska katedra w samym Kremlu u stóp moich, a poza murami pół tysiąca cerkwi, kaplic i klasztorów — wielkiej i nabożnej Moskwy.

Trudno o więcej niezwykły, o bardziej fantastyczny widok.

Znam przecież wspaniałe stolice Starego Swiata, znam olbrzymie ruchliwe metropolie za Atlantykiem — znam Wschód, podziwiałem cudny obraz Konstantynopola ze Złotego Rogu, lecz muszę przyznać, że widok Moskwy z kołokolni Iwana na Kremlu, przewyższa jeżeli nie pięknością, to oryginalnością wszystko inne.

Cóż wobec tego pierwszego wrażenia mam jeszcze napisać więcej?... Na Wschodzie jest zasadą: podziwiaj z daleka, bo z bliska straci wszystko urok swój. Czyż warto wspominać o wielkim dzwonie carskim (car-kołokoł) ważącym 200.000 kg. a umieszczonym na wielkim granitowym postumencie? Czy warto zaglądać na Kremlu do wnętrza carskich pałaców, do wnętrza katedr i wyliczać meble i ikony tam się znajdujące?... Nie! z pewnością nie...

Więc opuszczamy Kreml przez Spaskie Worota zdejmując pokornie nakrycie głowy, gdyż tak chce ukaz, tak wymaga zwyczaj praktykowany od cara Aleksieja i udajemy się na obszerny piękny plac t. zw. „czerwony“ (krasnaja płoszad), którego tył stanowią mury Kremlu — front podziwiany już przez nas wielki europejski gmach bazaru, czyli „kupieckich rzędów“, gdzie się pomieściły najważniejsze handle i magazyny Moskwy. Z lewej strony obok czerwonego gmachu dumy widnieje mała, niepokaźna, a przecież przez tłumy ludów oblęgana kapliczka, bo tam się znajduje cudowny obraz Iwerskiej Matki Boskiej. I oto właśnie, sześciokonną karetą, z liczną służbą w liberyi, Matka Boska jedzie z wizytą do każdego, kto tego pragnie, wielkiego i maluczkiego, bogacza i biedaka - wszędzie ona zawita, tylko, że trzeba za to bardzo słono zapłacić!...

A cóż to za dziwoląg widnieje z prawej strony placu. Liczne większe i mniejsze kapliczki w kształcie baszt, zakończone pokręconemi, pękatemi kopułami i kopułkami, z łuskami i kolcami o wszystkich możliwych i niemożliwych barwach, zasypane obrazami i ozdobami łączą się w chaotyczną całość. To duma Moskwicina — to sławna katedra Wasyla Błażennoho. Podanie mówi, że Iwan Groźny rozkazał po ukończeniu tej budowy wykłuć architekcie oczy, ażeby nie mógł wznieść podobnego arcydzieła gdziei dziej — obcemu się zdaje, że to była kara za wybudowanie takiego monstrum.

Środek placu zajmuje pomnik z bronzu, który i nas bardzo zajmuje, mianowicie pomnik Minina i kniazia Pożarskiego, który wdzięczna Moskwa wzniosła na pamiątkę „oswobodzenia grodu od Polaków.“ Na postumencie widnieje płaskorzeźba, przedstawiająca opuszczenie Kremlu przez wojska polskie w r. 1612.

Ah tak!... w tej walce Wschodu z Zachodem zapuszczaliśmy się aż tu tak daleko, niosąc sztandar kultury i cywilizacyi Zachodu, starając się postawić kres potędze wschodniej. Dziś czasy się zmieniły, władca zachodniego państwa, bawiący się czasem w Ludwika XIV, zjeżdża nad Newę i przy szampanie ślubuje poprowadzić swe wojsko tam, gdzie car zechce — co za ładna, nowoczesna forma przysięgi lenniczej, która niegdyś na rynku krakowskim zupełnie inaczej wyglądała.

Lecz oczy nasze biegną od pomnika i od kupieckich rzędów ciągle ku tym dziwnym wschodnim budowlom, które mają rzeczywiście coś demonicznego w sobie. Z uśmiechem i uczuciem wyższości ujrzałem je po raz pierwszy, a przecież zawsze wracam do nich, bo jakąś siłą czarów ciągną ku sobie..

Już i wieczór zapadł a ja po raz wtóry drapię się na dzwonicę Iwana; sowicie obdarzony stróż pozwala choćby i całą noc zostać na balkonie. Srebrny sierp księżyca oświetla w czarodziejski sposób całe miasto — w którem jakby senne widziadła lśnią kopuły i wieże.

Patrzę i patrzę... i zwolna wyobraźnia przenosi mnie blisko trzy wieki wstecz. U stóp Kremlu nad rzeką widzę wielki obóz, widzę zbroje błyszczące, słyszę szum skrzydeł husarskich i nabożne wspaniałe pienia: Bogarodzica, dziewica!...

Boże, mój Boże!... Oczy łzami zachodzą, serce omal że nie pęknie z bolu... Wszakże to mój dzielny przodek, o którym kilkakrotnie wspomina Żółkiewski w swych pamiętnikach, p. Samuel Dunikowski jedzie na czele swego pułku w lśniącej zbroi i z mieczem w ręku... Spojrzyj na mnie, zacny praszczurze mój, na swego biednego potomka, który tu przybył bez miecza, bez wojów — tylko z młotkiem i piórem w ręku. Spojrzyj na mnie i usłysz mię!... Miecz nam wytrącono z ręki, lecz my piórem, pędzlem, młotkiem, tym orężem cywilizacyi walczymy dla Ojczyzny naszej, którą tak samo miłujemy, jak wyście ją miłowali, a gorącą tę miłość zdolną do wszelkich poświęceń przekażemy jako skarb najdroższy dzieciom naszym!...

Dr. Emil Habdank Dunikowski.

Deficyt w zbożu.

Można się było tego roku spodziewać na rynkach amerykańskich w ogóle wielkich fluktuacyj cen, spowodowanych przez spekulantów, którzy na wielkich giełdach amerykańskich rządzą wszechwładnie. Istotnie telegraf donosił o bezustannych zmianach, to o zwyżce, to zniżce. Giełdy europejskie, oprócz liverpoolskiej, gdzie spekulacya też kwitnie, już się bardziej uspokoiły i nie wykazują tak znacznych zmian z dnia na dzień.

Ceny wyższe trzymają się stale, nie ulegając zniżce, do której istotnie najmniejszego nie ma powodu. Nie nastręczają go ani dalsze wiadomości o rezultacie zbiorów, ani zapasy, ani nareszcie ogólne stosunki w handlu zbożowym.

Co do punktu pierwszego, t. j. rezultatów zbiorów, zaznaczyć wypada, iż przedstawia się on w świetle coraz gorszem. Donoszono n. p. dawniej, że plon pszenicy w Angli będzie mniej więcej odpowiadał zeszłorocznemu, lub o odrobinę będzie gorszy. Według ostatniego urzędowego sprawozdania spodziewają się w Angli z większego obszaru pól plonu mniej więcej o 300.000 kwartr. gorszego od zeszłorocznego. Cyfry, dotyczące obszaru p d pszenicą w Anglii i Holandyi i plonu za ostatnie sześć lat, przedstawiają się jak następuje:

W. r.	Pszenicą obsiano akrów	Zebrano kwart (250 kg)
1897	1,940.000	6 790.000
1896	1,735.000	7 250 000
1895	1,454.000	4,750.000
1894	1,985.000	7,400 000
1893	1.955.000	6,300.000
1892	2,298.000	7,600.000

Daleko gorzej przedstawiają się stosunki we Francyi. Tam jeszcze do niedawna robiono sobie złudzenia, że plon pszenicy wyniesie 35—37 milj. kwarterów, wobec 42½ milj. w r. 1896 i 42½ milj. w r. 1895. Tymczasem, według urzędowego szacowania ministeryum rolnictwa, plon przyniesie nie więcej jak 29—31 milj. kwarterów, a „Bulletin des Halles“ utrzymuje, że szacowania ministeryum są optymistyczne, bo zbiór nie przyniesie 28 milj. kwartr. pszenicy, tak, iż Francya, konsumująca rocznie 43 milj. kwartr. pszenicy, a w ostatnich dwu latach nic nie importowała, podczas bieżącej kampanii musi importować 12—15 milj. kwarterów. Ponieważ potrzeba Angli wynosi 22¾ milj. kwarterów, więc dwa te kraje podczas bieżącej kampanii będą importowały najmniej 35 milj. kwarterów.

Austro Węgry zwykle, ze względu na obfite plony Węgier, należą do krajów eksportujących, a przynajmniej wystarczają na swoje potrzeby. Według najnowszego sprawozdania węgierskiego ministra rolnictwa, Węgry z Chorwacyą i Slawonią będą miały w r. b. 12½ milj. kwarterów pszenicy wobec 18½ milj. kwrtr. w r. 1896. Węgry mogą eksportować 3 milj. kwrtr. gdy zaś Austrya musi importować 7 milj. kwrtr. zbraknie 4 milionów, które z zagranicy sprowadzić będzie trzeba.

Najbliżsi sąsiedzi nie będą mieli tak dużo na zbycie jak w r. 1896/7. Według najnowszych szacowań Rumunia zebrała 5 500.000 kwtr. pszenicy wobec 8,700.000 w r. 1896, a Bułgarya i wschodnia Rumelia 3,715.000 kwtr. wobec 5,850,000 w r. 1896. Rumunia, Bułgarya i Serbia będą miały na wywóz 5 milj. kwtr. pszenicy.

Według ostatniego sprawozdania włoskiego ministra rolnictwa Włochy w r. b. omłócą 14 milj. kwtr. pszenicy, wobec 17½ milj. w r. z.

Węgierski minister rolnictwa ogłosił świeżo swoje szacowania co do tegorocznych zbiorów pszenicy na całą monarchię. Na podstawie ogłoszonych dotychczas urzędowych danych ocenia on zbiór pszenicy w Rosyi na 48,400.000 kwtr. wobec 56,200.000 w roku ostatnim.

Wymienione tedy dotychczas państwa będą miały w r. b. najmniej 35 milj. kwtr. czyli około 280 milj. buszli pszenicy mniej niżeli w r. 1896. Wiadomo zaś, że jedynem państwem, które ma nadwyżkę jest Ameryka północna. Plon jej pszenicy obliczają obecnie na 550 milj. buszli. Przypatrzmy się jak się przedstawia plon włącznie z zapasami na początku kompanii, tj. dnia 1 sierpnia. Odnośne cyfry za ostatnich 7 lat brzmią jak następuje:

w r.	plon	zapas 1/8	razem	eksport
	buszli			
1897/98	550,000	26.000	576,000	?
1896/97	460,000	61,000	521,000	145.000
1895/96	500,000	53,600	553,600	127,000
1894/95	540,000	74,900	614,900	142,000
1893/94	480,000	73,100	553,100	164.000
1892/93	585,000	34,000	629 000	192,000
1891/92	690,000	25,200	715,200	220,000

W r. z. o tym czasie przypuszczalny eksport Ameryki oceniano na 140 milionów buszli faktycznie wywieziono 145 milj. Podczas kampanii bieżącej Ameryka może wywieźć o 40 do 50 milj. buszli więcej. Ale cóż to znaczy wobec zwiększonej o 280 milj. potrzeby?

Przypatrzmy się cyfrom zapasów wszechświata, o ile są kontrolowane i przekonamy się, że one też niezbyt korzystnie w interesie konsumentów się przedstawiają. Zapasy pszenicy w d. 1. września rb. i sześć lat poprzednich wynosiły:

w r.	w Europie	w Ameryce	razem
	kwarterów		
1897	4,581.000	3,000.000	7,851.000
1896	5,022.000	7,635 000	12,657.000
1895	9,321.000	6,700.000	16,021 000
1894	9,000.000	11,045 000	20,045 000
1893	10,700.000	8 810.000	19.510.000
1892	9,250.000	5.808 000	15,058.000
1891	8,500.000	3,550.000	12,050.000

Od siedmiu lat tedy zapasy nie były tak małe jak w rb.

Pomimo stopniowego zmniejszania się zapasów już podczas kampanii ubiegłej, ceny jak wiadomo w miarę postępu kampanii nietylko się nie podnosiły, lecz przeciwnie obniżały. Zaznaczaliśmy wtedy niejednokrotnie nienormalność tego położenia i przypisywaliśmy je tej okoliczności, że kupcy i młynarze, skutkiem ułatwień transportu, nie spieszą się z zakupami, nie czynią zapasów, a przyzwyczaiwszy producentów do nienormalnie niskich cen, utrzymują je na tak niskim poziomie, czyniąc tylko wtedy zakupy, gdy zboże bardzo tanie.

Otóż skutki tej praktyki odbiły się obecnie nagłą i znaczną na początku obecnej kampanii zwyżką, a brak zapasów u kupców i młynarzy wzmacnia obecnie bardzo pozycyę producentów, bo każda ich powściągliwość w sprzedaży, przy obecnych małych zapasach zmusza młynarzy i handlujących do czynienia koncesyi co do ceny.

Kukurudza amerykańska w r. b. też nie będzie obniżała ceny pszenicy i innych zbóż, według najnowszych wiadomości ze Stanów Zjednoczonych bowiem nie zapowiada się tak świetnie, jak się na to zanosiło. Znana firma Thoman, specyaliści co do kukurudzy, którzy miesiąc temu oceniali, oczywiście zbyt optymistycznie, plon kukurudzy na 2627 mil. buszli, obecnie zredukowali swoje szacowanie na 1957 milionów buszli. *Cinncinnati Price Current* w ostatnim numerze oblicza, że plon kukurudzy, pomimo większych obszarów obsianych kukurudzą nie przeniesie 1750 milionów buszli, wobec 2283 mil. w roku 1896, a 2151 mil. w r. 1895.

Wszystkie te okoliczności pozwalałaby spodziewać się bardzo wysokich cen zboża, ale pamiętać o tem należy, iż konsumcya jest rzeczą elastyczną i że przy wysokich cenach mąki i chleba klasy najmniej zamożne nawet w konsumcyi tego niezbędnego środka pożywienia ograniczyć się muszą. Jedyna nadzieja w tem, że polepszenie się położenia rolnictwa, któremu ceny obecne wynagrodzą nieco niedobór, wpłynie na ożywienie się ruchu ekonomicznego i przyczyni się do powiększenia zarobków klas pracujących.

A. D.

Cesarz i zuluski książę.

Na wyspie św. Heleny, na której wielki Napoleon zdala od światowego gwaru oddał Bogu niespokojnego ducha, przebywa obecnie inny książę jako jeniec. Jemu także nagle szczęście wojenne pokazało twarz zachmurzoną i skrzywioną. Jest nim książę zuluski Dini wzięty do niewoli w czasie wojny z Anglikami i wygnany na odludną wysepkę. O spotkaniu się z nim opowiada rosyjski podróżnik Doliwo Dobrowolski, który na statku „Sarja“ przybył złożyć wizytę samotni, oblanej bezbrzeżnymi morzami.

Skorom tylko — pisze Dobrowolski — otrzymał potrzebne pozwolenie gubernatora Gray Wilson'a, puściłem się natychmiast z przewodnikiem w drogę do Rosemerry, rezydencyi księcia zuluskiego Diniego. Droga szła zrazu przez plantacye drzew gumowych, w których świeży powiew wiatru umożliwiał do pewnego stopnia podróż wśród niesłychanego skwaru. Wkrótce krajobraz się ożywił, drzewa gumowe bowiem ustąpiły miejsca roślinom europejskim, które zachwycały oko różnorodnością kształtów i obfitością liścia. Stanęliśmy wreszcie w Rosemerry, najbardziej malowniczym punkcie na wyspie św. Heleny.

Młody Anglik, tłómacz książęcy, zaprowadził mnie do małego domu, wyglądającego na dosyć niedbale utrzymywane ludzkie mieszkanie. Wszedłem do niskiego pokoju, w którym stał tylko stół, dwa kresła drewniane i kilka trzcinowych stołków. W jednym kącie pokoju stał cały zbiór włóczni, łuków i sporządzonych ze skór lamparcich przyborów afrykańskiego księcia. U drzwi siedziało kilku, w niebieskie kaftany ustrojonych murzynów a w dali zarysowywał się profil młodego jeszcze Afrykanina, w wytwornej letniej toalecie. Stał on oparty o ścianę. Sama postawa jego, pełna dumy i majestatycznej powagi — kazała domyślać się członka wysokiego rodu. Czarne, kędzierzawe włosy, twarz, oczy odpowiadały kolorowi włosów; usta wydęte; nos nieco spłaszczony — oto portret księcia.

Z uśmiechem podał mi rękę; a gdym usiadł, poczęstował mnie bananami. W ogóle starał się być jak najuprzejmniejszym. Rozmawialiśmy po angielsku, chociaż książe okazywał widoczne braki tego języka. Z trudnością tylko zdołał on się wysłowić i czuć było, ile pracy kosztuje go złożenie paru zdań w jedną całość.

Z prawdziwem zajęciem wypytywał mnie o ojczystą moją Rosyę. A że miałem właśnie przy sobie album widoków Petersburga, podałem mu je. Z zainteresowaniem przysłuchiwał się on objaśnieniom tłómacza, wyrażając od czasu do czasu swoje zdumienie i podziw przez lekkie pogwizdywanie. Następnie pokazał album innym swoim współplemiennikom. Gdy mi zaś chciał zwrócić, prosiłem księcia, ażeby raczył przyjąć odemnie skromną tę pamiątkę.

Prośbę moją przyjął książe z niekłamaną radością. W zamian zaś za album ofiarował mi swoją fotografię, która wyobrażała księcia w europejskiem ubraniu i popielatym cylindrze, otoczonego leżącymi u stóp jego ulubionymi kotami. Fotografię tę podpisał Dini swojem nazwiskiem (pismem wielkiem, niewyrobionem) a ofiarując mi ją, prosił, ażebym pokazał ją w Rosyi i objawił, że książe zuluski Dini, choć w niewoli, jest wielkim i bogatym władcą, że nie traci nadziei powrotu i że gdy tenże nastąpi, Rosya może się spodziewać jego przyjaźni i liczyć na nią.

Po tych odwiedzinach u obecnego jeńca angielskiego chciałem zwiedzić jeszcze wyspę i oglądnąć miejsce, w którem Napoleon przepędził ostatnie dni swego życia. Pojechaliśmy zatem dalej i wkrótce stanęliśmy nad źródłem, okolonem żałobnymi cyprysami. Lekki powiew wietrzyka owionął nas, samotnych podróżników, ożywczem swojem tchnieniem. Stanęliśmy nad grobem, nad którym — jak mówi Puszkin — zagasła nienawiść narodów a słonecznym nieśmiertelność zajaśniała blaskiem.

Grobowiec nowoczesnego Cezara jest jak wiadomo, pusty. Na zapytanie moje, dlaczego nie ma na nim żadnego napisu, otrzymałem odpowiedź, że stało się to dlatego, iż nie chciano się zgodzić na napis zbyt lakoniczny: „Tutaj spoczywa generał Bonaparte“, na który pozwolił ówczesny gubernator wyspy, Hudson Lowe. Na napis taki naturalnie zgodzić się nie chciano. A trzeba dodać, że Lowe nie pozwolił spełnić ostatniej woli zmarłego bohatera, który życzył sobie, ażeby serce jego przewieziono do Parmy, do cesarzowej Maryi Ludwiki.

Miejsce, na którem dzisiaj wznosi się pomnik, obrał sobie sam Napoleon. Ileż chwil spędził on tutaj w dumaniach zatopiony? Było to bowiem ulubione jego miejsce spoczynku. Opodal wznosi się mały biały domek, uderzający swoją prostotą. Jest to dom Napoleona. Wszystko w nim znajduje się nietknięte, wszystko tak, jak było ongi, gdy mieszkał tu ów postrach Europy, były cesarz Francuzów. Nawet bielidło to samo. Tylko meble przewieziono już dawniej do Francyi, gdzie umieszczono je jako pamiątki po różnych muzeach.

Wnętrze domku trzymane jest w półcieniu. Sciany obwieszone ciemnemi tapetami koloru bordo z zielonem mieszanego. Nad kominkiem małego pokoju, który mieścił w sobie pracownię cesarza, wisiał niegdyś portret Maryi Ludwiki a pod nim miniatura cesarzowej Józefiny. Po lewej stronie znajdował się obraz, przedstawiający koncert na flecie Fryderyka Wielkiego, opodal zaś zegarek Napoleona jeszcze z czasów konsulatu, zawieszony na dywaniku, wyszywanym ręką drugiej jego małżonki.

Przed opuszczeniem wyspy spotkała mnie miła niespodzianka. Oto francuski urządnik, bawiący tam w charakterze służbowym, ofiarował mi, przez pamięć na genialnego swego ziomka, papierośnicę, łańcuszek do zegarka i portmonetkę na karty wizytowe — wszystko robione z trawy, porastającej grób Napoleona.

ROZMAITOSCI.

„Wśród stepu“ obrazek Erazma Obniskiego zaczynamy drukować na odwrotnej stronie dzisiejszego dodatku.

Armia zbawienia, o której zwykliśmy czytać więcej rzeczy nastrojonych na ton humorystyczny, niż pragnących głębiej wniknąć w istotę tej potężnej bądź co bądź istytucyi, stworzonej przez pastora anglikańskiego Bootha, mianującego się generałem, armia ta, od czasu do czasu, daje świadectwo swej działalności wysoce humanitarnej, przejętej istotną miłością bliźniego. Obecnie np. przystępuje armia do założenia w Berlinie przytułku dla dziewcząt upadłych, opartego na jak najpiękniejszych zasadach. Przytułki podobne założyła już „armia zbawienia“ w Londynie, Amsterdamie, Kopenhadze i dzięki tym zakładom nawróciła na dobrą drogę przeszło 20.000 dziewcząt. Obecnie przytułki liczą blizko 3.000 pensyonarek. Założenie przytułku w Berlinie projektowano oddawna, brak jednak środków na kupno odpowiedniej nieruchomości stawał spełnieniu zamiaru na przeszkodzie. Obecnie środki się znalazły, zakupiono plac wraz z domem na przedmieściu Friedenau i wkrótce przytułek rozpocznie swą działalność. Żadnych oznak zewnętrznych, wskazujących jego przeznaczenie. Dom otwarty będzie dzień i noc dla zgłaszających się doń kobiet. O wyznanie, przeszłość zgłaszających się nikt pytać nie będzie. Pensyonarki przytułku uczyć się będą, stosownie do swego uzdolnienia, prania bielizny, krawiectwa, nawet prowadzenia książek handlowych i korespondencyi. Uczyć je będą oficerki armii zbawienia. Ofiary na tę humanitarną instytucyę płyną dość obficie. W ostatnich dniach np. wpłynęło 2.000 marek na wewnętrzne urządzenie domu.

O Jakubie Burckhardzie, niedawno zmarłym historyku sztuki, krąży następująca anegdota: Uczony podczas pobytu w Karlsruhe został zaproszony przez wielkiego księcia badeńskiego na posłuchanie. Ponieważ nie miał fraka, pożyczył go od jednego ze znajomych. Podczas rozmowy Burckhardt ze zdziwieniem dostrzegł, że książę uporczywie wpatruje się w wyłogi jego fraka. Wreszcie książę rzekł: „Nieprzypominam sobie, abym panu był dał kiedykolwiek order.“ Na fraku cudzego widniał wspaniały order badeński. Burckhardt, który nie miał zdolności do dworactwa, wesoło odrzekł: „Mości książę, to frak pożyczony!“

25-letni jubileusz rządów króla szwedzkiego zgromadzi wszystkie dzieci królewskiej pary; stawią się także na tę uroczystość nowożeńcy: księżna Ingeborg duńska i ks. Karol, bawiący obecnie w Danii, dla uczczenia 80 rocznicy urodzin królowej Krystyanowej. Na dworze szwedzkim cieszą się bardzo z zapowiedzianego przybycia księżny Ingeborg, która odznacza się wielką żywością i dowcipem. Jest nadzieja, że wprowadzi trochę wesołości na ten dwór posępny, następczyni tronu bowiem, skutkiem wątłego zdrowia dużo zagranicą przebywa, a hrabia Wisborg (drugi syn króla) wraz z małżonką swą przybywa w Carlskronie. Jak wiadomo książę Oskar zrobił mezalians i odtąd żyje na uboczu. Księżna Ingeborg zainteresowała się jednak swoją bratową i pragnie się do niej zbliżyć.

Nic nowego pod słońcem. W wykopaliskach z Herkulanum znalezione obecnie słup, na którym zachowały się jeszcze ślady ogłoszeń o przedstawieniach, zabawach, zgromadzeniach itd. A zatem i to już było!

1

Wśród stepu.

(Obrazek.)

— Daleko jeszcze Michale?
— O daleko jaśnie panie!
— Ale jak daleko?
— Byłoby na trzy godziny jazdy, tu na Podolu, za dwie będziemy.
— Spiesz się, aby na nas nie czekano.
— Ej! jaśnie panie, kiedy to będzie, kiedy?
— Jakto kiedy, skoro mówisz, że za dwie godziny będziemy.
— Jak Bóg da, w Jego mocy.
— Nie rozumiem cię.
— Pan nie widzi, jak ogier lejcowy, kary, rozdął nozdrza i parska.
— Bo młody, mój Michale, zimno, a koń ogień.
— To prawda, ale on czuje wilki.

Taką rozmowę prowadził młody człowiek, który przed godziną wysiadł z pociągu w Humaniu i jechał do K...

Była dopiero piąta, słońce ledwie co zaszło, a księżyc pokazywał się, wychylając się z lasu. Konie raźno biegły, saneczki mknęły, jak piłka, po śnieżnym gościńcu. Na prawo i lewo step. Z tyłu światełka w dali. Snać mieszkańcy Humania gotowali się do wieczerzy.

Z przodu pod lasem także jakieś migocą światełka, lecz jakoś złowrogo. Gdy światła te ujrzał Michał, choć był doświadczony, doznał nie małego lęku, bo owe złowrogie ogniki wróżyły gromadę wilków. Co do pana, ten nigdy w życiu nie był świadkiem krwawego dramatu rozprawy z wilkami w takiem pustkowiu. Zresztą jako młody, nie trwożył się spojrzeć oko w oko swym napastnikom. Konie jednak były przestraszone. Nie pomagały nawoływania woźnicy, brały na kieł i chciały unosić; o mało co z sanek nie wypadł podróżny.

Księżyc wysunął się z poza szkieletów dębowego boru i oblał jasnem, zielonawem światłem krajobraz cały. Noc była cicha, przerywana ostrym piekącym wiatrem. Wiatr wiał z północy, przenikał do szpiku kości, osypywał szron z przydrożnych drzew i miótł nim po drodze, rzucając w oczy podróżnym.

Nasz podróżny na wiatr nie zważał, on nie podzielał niepokoju woźnicy i przestrachu koni; cała myśl jego skierowana była gdzieindziej. Już miesiąc, jak nie był w K... i nie widział Marychny. Zaledwie pół roku, jak się znają; nietylko się pokochali, ale i zrozumieli. On ją kocha tak gorąco! Ona wie o tem, choć o miłości nigdy nie mówili nic, nic sobie nie przyrzekali. Czyż dla wyrażenia miłości słów koniecznie trzeba? A jednak zdają się być połączeni na zawsze i dumnym czuje się nasz młodzieniec wzajemnością tej dziewczyny i szczęśliwy.

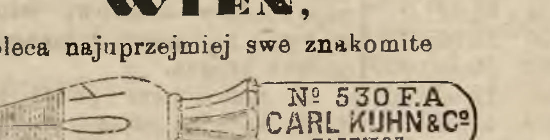
Na wsi, w domu szlacheckim, bogobojnie wychowana, starannie wykształcona, współpracowała nad sobą. Bóg pracy wspólnej błogosławił, natura dała, co dać mogła. Była arcydziełem piękna, wcieleniem dobroci. Pomimo wyższego wykształcenia była łatwa w obcowaniu, lecz godność swą i stanowisko umiała uszanować, szanowała się, więc i ją szanowano.

Jakże roskosznie czas spędzał nasz bohater w jej towarzystwie. Nie dziw, że i obecnie stoi w jego wyobraźni ta śliczna, ośmnastoletnia dziewczyna, z lekkim rumieńcem na twarzy, wdzięcznym uśmiechem na rozwartych ustach i błyskiem swych czarnych przepaścistych oczu wabi go i upaja, a całą powierzchownością i miłą twarzyczką pociąga. On czyta w tych oczach raj dla siebie, szczęście roskoszy. Nie porywa go jakiś szał nieokreślony, przeciwnie, ona go rozgrzewa swem spojrzeniem, wciela się w niego, łączą się razem ich myśli, pragnienia ich i uczucia. Miłość sama nie jest tylko tematem ich bezsłownej rozmowy. Wszystkie cele wspólnie ich łączą, oni się tak dobrze rozumieją, tyle mają ochoty do życia, prac poświęceń... cierpienia. Są bardzo odważni i szczęśliwi nadzwyczaj. Dlaczego? Bo miłość, ta treść życia, ich owładnęła, świetlaną swą aureolą otoczyła, ciepłem swem ogrzała.

Konie biegły coraz chyżej, niespokojniej. Wtem jeden szarpnął pyskiem, lejce wypadły z rąk woźnicy..., pan je pochwycił i wraz z furmanem starał się uspokoić przelękłe konie. Choć obydwaj byli silni, a konie szły na munsztukach, z trudnością im to przychodziło. Niepokój koni wyjaśnił się wkrótce. Na staj kilka odległości, na skrawku lasu, ujrzeli jakieś nieruchome cienie, wyraźnie rysujące się na iskrzącym się śniegu, oświetlonym pełnią księżyca; podróżni domyślili się, a konie poczuły, że to są wilcy. Cofać się nie sposób, przy szybkim zawrocie można sanki wywrócić, trudno lejce utrzymać, wysuwają się bowiem z rąk skostniałych, zdaje się, że mróz, konie, wilki zawarły soju z na zgubę podróżnych. Nie tak ja siebie żałuję, ile moją Marychnę, bo wiem, że i ona mnie żałować będzie, myśli młodzieniec, Zal mi i Michała, ma żonę i dzieci czworo, poczciwy człeczysko. Konie równają się z końcem lasu, cienie stają się widoczniejsze; za kupką dębów tuż za samym rowem przydrożnym wyrosłą, stado czy stadko, wiele niepodobna dojrzeć; masa czarna, bezkształtna, zda się nieruchoma, bez życia. To wilcy czatują na żer, skulone dygocą od mrozu, ogrzewają się nawzajem. Możeby minęli półsenne bestye, nie dając im dość czasu do zorjentowania się i pościgu, lecz trzeba było brawury młodzieńczej zażyć i strzelić. Strzał był celny, bo jeden wilk spadł z okopu do rowu, bez jęku. Reszta zerwała się z wyciem i wściekłością i puściła się za śmiałkiem w pogoń, który je wyzwał do walki, znacząc ślady swoje krwią. Kilka, ubiegłszy trochę, upadło z upływu krwi i wyczerpania. Rozbudzone strzałem, czując krew, powodowane instynktem krwiożerczym, chciały pomścić swych braci i same się nasycić. Kilka strzałów padło powtórnie, kilka wilków powaliło się na ziemię, inne z przeraźliwem skomleniem i rozpaczą, czując brak sił i ból zadanych ran, wlokły się leniwie, zachęcając, choć wyrazem boleści i przeciągłem wyciem swoją awangardę do zemsty, która z sześciu wilków złożona, dzielnie się trzymała. Jeszcze strzały padły, lecz bez skutku. Naszemu zuchowi ręka drżała, chybiał raz po raz. Michał tymczasem przytomności nie tracił, zdawał się nie zważać na wilków. Cała myśl jego była skierowana ku poskromieniu koni, które cwałem pędziły po stepie, z drogi zboczywszy, przelękłe, zziajane. Nie mógł ich powstrzymać, choć wilki były już daleko. W tym stepowym pościgu konie wzięły prym, ocaliły siebie, pana i Michała, którego słuchały zazwyczaj, dziś tylko nie dały się uspokoić, aż same zmęczone stanęły. Postanowili zatrzymać się chwil kilka, aby konie odetchnęły, a sami mogli się po okolicy rozpatrzeć, bo zbłądzili. Miał racyę Michał, dawszy odpowiedź panu, że powinni być w K. za dwie godziny, a kiedy będą, to Bóg wie.

Kiedy będę w K....? — zadawał sobie pytanie nasz młodzieniec. Odpowiedź była niemożliwa, bo nie wiedział ani on, ani Michał, gdzie się znajdują. Wiedział dobrze, że Marychna będzie niespokojna, wszak rozerwanie przez wilki nie należy do bajek, szczególnie tej zimy, kiedy włócząc się bandami, aż pod wsie podchodzą. Michał tymczasem zapytał o pozwolenie zapalenia fajki, a zapaliwszy takową, rzekł:

Erazm Obniski.
(C. d. n.)



Zu Nr. 5381. 2099

Aviso.

Bei den nachstehend genannten Militär-Sanitäts-Anstalten werden zu den weiters bezeichneten Terminen folgende Sicherstellungs-Verhandlungen stattfinden u. zw.:

A) Die Sicherstellung der traiteurmässigen Verköstigung:

beim Truppen-Spital in Czernowitz am 23. September 1897
" " in Kolomea " 24. " "
" " in Stanislau " 30. " "
" " in Złoczów " 5. October "
" Marodenhause (Truppen-Spital) in Trembowla am 13. " "

B) Die Sicherstellung der Lieferung von Victualien und Getränken für die Verköstigung in eigener Regie:

beim Truppen-Spitale in Brzeżany am 15. October 1897

C) Die Sicherstellung der Reinigung und Ausbesserung der Kranken und Spitalwäsche:

beim Garnisons-Spitale Nr. 14 in Lemberg am 21. September 1897
" Truppen-Spitale in Czernowitz " 23.
" " in Kolomea " 24.
" " in Stanislau " 30.
" " in Tarnopol " 1. Oktober 1897
" " in Złoczów " 5.
" " in Żółkiew " 7.
" Marodenhause (Truppen-Sp.) Trembowla " 13.
" Truppen-Spitale in Brzeżany " 15.

Beginn der Verhandlung allerorts um 10 Uhr Vormittags.

Offerte und Vadien haben genau zu den angegebenen Terminen **bei den obigen Anstalten** einzulangen.

Der Ausschreibung liegt das mit 1. Jänner 1897 in Kraft getretene Reglement für den Sanitäts-Dienst des k. u. k. Heeres II. Theil zu grunde.

Die näheren Bedingungen können den, bei den vorgenannten Anstalten und bei den Intendanz des 11. Corps erliegenden Bedingnisheften, dann den bei allen Militär-Spitälern, dann bei den in Betrachtkommenden Militär-Stations-Commanden, Bezirkshauptmannschaften und Gemeindeamter affichierter vollinhaltlichen Kundmachungen, welche auch in der „Gazeta Lwowska", „Gazeta Narodowa", „Czernowitzer Zeitung" und „Bukowinaer-Nachrichten" verlautbart wurden, entnommen werden.

Lemberg, am 26. August 1897.

Von der Intendanz des k. und k. 11. Corps.

